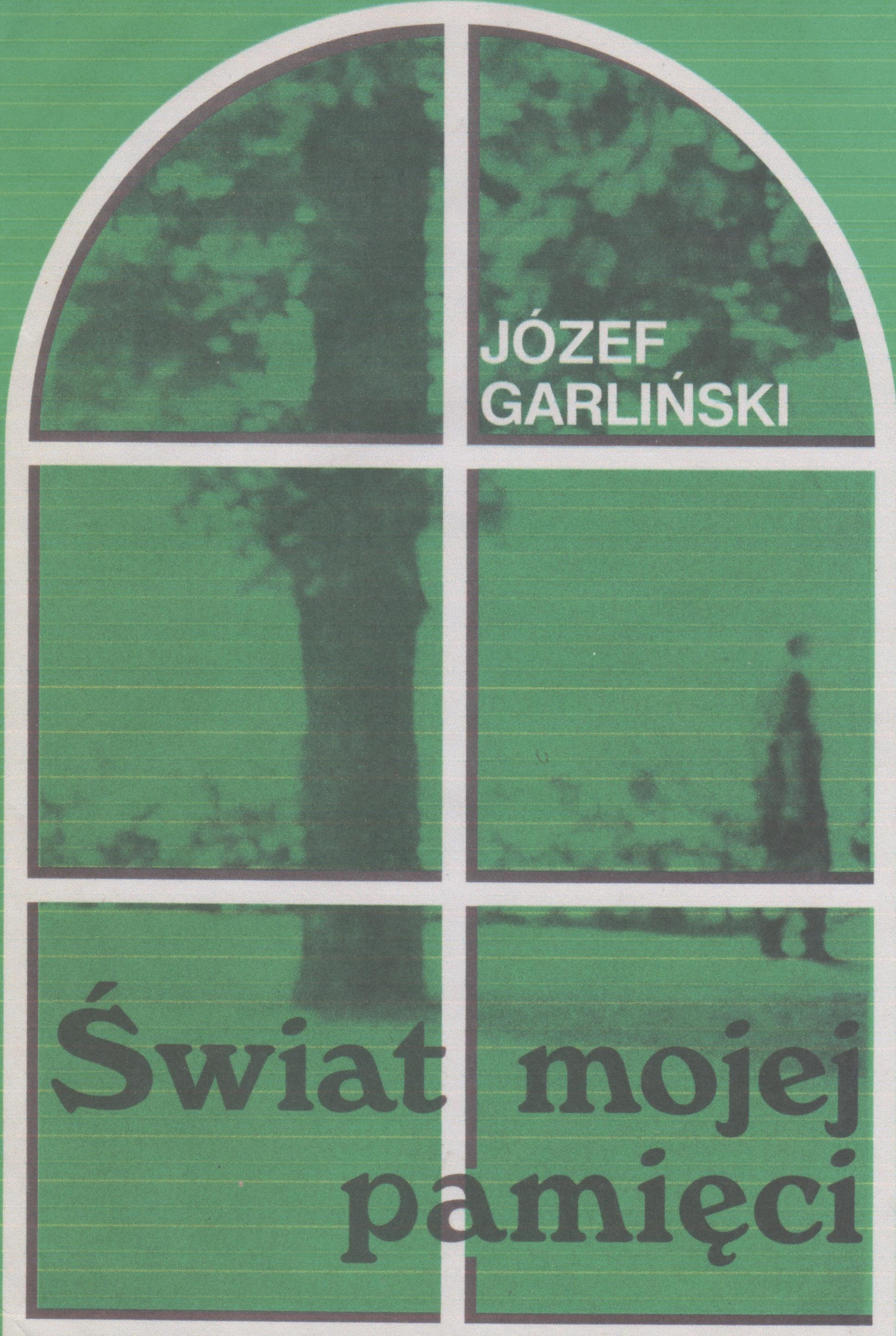




JÓZEF
GARLIŃSKI

Świat mojej
pamięci

Wspomnień tom drugi. Londyn

Związek Klubów Sportowych

Nasze dzieci, urodzone poza Polską, na obcej ziemi, nie były emigrantami. Najmłodsi emigranci, choć nie dobrowolni, rekrutowali się z rodzin wywiezionych w głąb Sowietów lub na roboty do Niemiec. Chłopcy przeszli przez Korpusy Kadetów, dziewczęta przez gimnazja, nieco starsze przez Pomocniczą Służbę Kobiet.

Organizowanie sportu zaczęło się, oczywiście, już w Szkocji, na Bliskim Wschodzie, w Drugim Korpusie, na terenie okupacji w Niemczech i było kontynuowane po wojnie, w Wielkiej Brytanii.

Z inicjatywy prywatnej zaczęły powstawać w obozach drużyny piłkarskie, koszykarskie i siatkarskie, tu i tam pokazali się lekkoatleci. Gdy powstało SPK, ono przejęło koordynację tych poczynąń.

W Zarządzie Oddziału SPK Wielka Brytania sportem zajmował się Adam Krajewski, ale codzienną pracę prowadził zatrudniony tam jako urzędnik Tadeusz Krason, fanatyk sportu, z którym szybko nawiązałem kontakt. Był w moim wieku, w Drugim Korpusie prowadził drużynę piłki nożnej i on wysunął inicjatywę utworzenia przy SPK Związku Klubów Sportowych. Bardzo mnie ta myśl zainteresowała, miałem już spore doświadczenie organizacyjne, podjąłem się napisania statutu.

Trzeba było zwołać pierwsze zebranie przedstawicieli istniejących już klubów i wybrać zarząd, a to wymagało wysunięcia odpowiedniego człowieka na prezesa. Każdy z nas mógł nim zostać, ale uważaliśmy, że powinno się wybrać gen. Kazimierza Glabisza, który przed wojną stał na czele Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Miał około sześćdziesięciu lat, posiadał wielkie doświadczenie, różni działacze SPK, zarażeni takim czy innym bakcylem politycznym, będą się musieli z nim liczyć, a co najważniejsze, nie zechcą wysunąć kogoś innego przeciwko generałowi.

Poszliśmy doń we trójkę, Krajewski, Krason i ja, i po dłuższych namowach uzyskaliśmy zgodę. Bronił się, uważał, że ktoś młodszy będzie lepszy, ale ostatecznie ustąpił. Był to człowiek dużej klasy, tak samo jak my zakochany w sporcie, zyskaliśmy w nim wiernego i fachowego sojusznika.

Pierwsze walne zebranie, w roku 1956, zwołaliśmy nie do Londynu, ale do Darby, by delegaci z klubów rozrzuconych po całym kraju mogli szybciej i taniej dojechać oraz jak najtaniej przenocować.

Z Londynu, obok generała i nas, zabrał się także Jerzy Nowiak, którego przewidzieliśmy do Komisji Rewizyjnej. Zjechało się kilkudziesięciu delegatów, przeważnie przedwojennych działaczy sportowych, którzy wiedzieli, jak dawać sobie radę z trudną często młodzieżą. Dyskusja dotyczyła głównie pomocy finansowej ze strony SPK oraz organizacji mistrzostw emigracji w różnych dziedzinach sportu. Najważniejsze były rozgrywki w piłce nożnej, turniej tenisowy i lekkoatletyka.

General Glabisz był jedynym kandydatem na prezesa, oklaski potwierdziły jego wybór, Krason został sekretarzem, mnie powierzono funkcję wiceprezesa.

Sport fascynował mnie od wielu lat, sporo mu zawdzięczałem i uważałem, że mogę jakiś margines mego czasu poświęcić organizacji, która pomoże młodemu pokoleniu, po obozach i zsyłkach, odzyskać zdrowie.

Zawsze, od najwcześniejszych lat, interesował mnie tenis i jemu poświęcałem wiele czasu, ale w ostatnich szkolnych latach, gdy byłem już zdrowy, lepsze wyniki osiągałem w lekkoatletyce. Wtedy popularne były mecze międzymiastowe, z kilkoma innymi kolegami reprezentowałem Kalisz w meczach z Pabianicami, Ostrzeszowem, Ostrowem Wielkopolskim, i to były wtedy dla mnie w sporcie sprawy najważniejsze. Przyszły wyższe studia, Warszawa, moja lekkoatletyka zupełnie się tam nie liczyła, a tenis zajaśniał w barwach klubu Fundacji Domów Akademickich. Grałem w nim z powodzeniem w mistrzostwach Warszawy. Na korce można się cieszyć życiem do późnego wieku, więc w Londynie, gdy odzyskałem zdrowie, znowu wróciłem do rakiety.

Skoro sam grałem, także przez wiele lat organizowałem nasze mistrzostwa i Związek mógł na mnie liczyć.

Nie było mnie na kortach, gdy Marian Baranowski w ramach AZS w roku 1947 zorganizował pierwsze mistrzostwa emigracji. Nawet o nich wówczas nie wiedziałem, walczyłem o zdrowie. Wygrał je Zygmunt Ulm, „cichociemny”, który skakał do okupowanej przez Niemców Polski w maju 1944 roku.

Trudno wśród natłoku tylu ważnych spraw, które się w opisywanym półwieczu wydarzyły, odnotować 20 mistrzostw, organizowanych przeze mnie od roku 1953 do 1973. Przypomnę więc ten rok pierwszy. Singla wygrał znowu Ulm, który przez wiele lat bezapelacyjnie górował na rywalami. W półfinale padł dr Dzik-Jurasz, 6:0, 6:0 (!), w finale Czesław Podleski, 6:2, 6:2. Tenże Ulm, w parze z Arturem Friedrichem, zahamował mój pęd do tytułu, bijąc w półfinale mnie i Czajkowskiego, jednak tylko 6:4, 2:6, 6:2. W finale Witek Nowicki i Stefan Ryś zostali rozgromieni, 6:0, 6:1. Grę mieszaną zagarnął Nowicki z dziewczyną z Holland Parku, Jennifer Parr.

W singlu, który jest przecież najważniejszy, niestety nigdy w naszych mistrzostwach nie osiągnąłem większego sukcesu. Powróciłem do gry, gdy miałem już trzydzieści osiem lat, bili mnie młodszy lub bardziej regularni, bo cechą mego charakteru jest niecierpliwość i dążenie do szybkiego rezultatu, a więc gra ofensywna, bieg do siatki, a to wymaga młodych nóg i bardzo szybkiej reakcji.

W grze podwójnej mężczyzn grałem z kilkoma partnerami. Byli to: Stefan Gacki, Ludwik Łappo, Andrzej Czajkowski, a w ostatnich latach Marian Baranowski. Z nim dwukrotnie dotarliśmy do finału, choć nie tworzyliśmy klasycznej pary. Marian był doskonałym singlistą, wygrał raz całe mistrzostwa, w regularności nie mogłem mu dorównać, ale grał z głębi kortu, a gra podwójna wymaga ataków przy siatce. Jednak jego spokój, minimalna ilość błędów i pogodny uśmiech sprawiały, że wygrywaliśmy prawie beznadziejne mecze.

Grę mieszaną zacząłem z córką ambasadora i późniejszego prezydenta RP, Katarzyną Raczyńską, ale gdy zmieniliśmy przepisy, pozwalając na grę z Angiel-

kami, moimi partnerkami były tenisistki z Holland Parku: Norah Billing, Margaret Meade i Jennifer Redhead. Z każdą z nich po kilka razy zostawałem mistrzem, ogółem zdobyłem 10 pucharów.

Ostatnim mistrzem, w roku 1973, został Andrzej Stera, który po wygraniu singla, w finale gry mieszanej, pozbawił mnie szansy na zdobycie 11 pucharu.



Cofam się pamięcią wstecz, do dawno minionych lat, widzę sylwetki walczących na boiskach juniorów, którzy dziś są już emerytami, i stwierdzam, że piszę właściwie tylko o tenisie, a przecież byłem wiceprezesem całego Związku. Tak, dawałem coś z siebie, uczestniczyłem w walnych zebraniach, redagowałem wnioski, tworzyłem i poprawiałem statuty, ale nie przypominam sobie, bym poza tenisowymi, oglądał jakieś finały. Raz byłem na finałowym spotkaniu w piłce nożnej, gdy klub „Korona” zdobył puchar gen. Andersa. A lekkoatletyka, koronny sport mojej młodości? Cisza, pustka, ani śladu jakiegoś wspomnienia. Tenis stołowy? Tak, raz oglądałem finały, gdy mistrzem po raz któryś z rzędu został tenisista Zenon Schramm.

Piękne, warte przypomnienia, dalekie, minione lata.